Fredro w Szkocji



Garelochhead w Szkocji. Dawna pocztówka.

Florian Śmieja

Kiedy nasz samolot po wielogodzinnym locie dociera do celu, ogromną radość sprawia osoba, która pofatyguje się na lotnisko, by nas przywitać. Ponieważ zdarza mi się to rzadko, twarz

Miecia na warszawskim Okęciu świeciła jak słońce po długiej, mrocznej nocy. Nie szło o duże, ciężkie walizki i niekorzystanie z nachalnych, pazernych taksówkarzy tarasujących wyjście, o wiele ważniejsze były ciepłe, pierwsze wrażenia i kontakt z człowiekiem znanym, przychylnym i pomocnym.

Mietka odwiedzałem już przed laty w Detroit. Prowadził wzorowo laboratorium. Miał swoje kłopoty, zazdrości sfrustrowanych i zazdrosnych ziomków, nieporozumienia. Niekiedy był trochę na bakier ze zdrowiem. Ale wrodzony optymizm kazał mu nie przejmować się tym wszystkim i opędzić się od tych wszystkich niemądrych rodaków i Amerykanów.

Na emeryturę wrócił do Polski. Pod Warszawą kupił sobie dom i wraz z żoną wciągnął się w życie podstołecznego miasteczka. Miękkie serce sprawiło, że wnet oboje stali się przyjaciółmi okolicznych potrzebujących. Najbardziej hojni byli dla sierot, a św Mikołaj dla dzieci niepełnosprawnych stał się dla nich tradycją i wyczekiwanym dniem.

Poznałem Mietka bodaj w 1946 roku w obozie wojskowym w Szkocji. Wojna w Europie się skończyła i aby mieć szansę na zatrudnienie i dobrze przygotować się do cywila, żołnierze zaczęli się garnąć na kursy gimnazjalne i licealne. W Szkocji w miejscowości Garelochhead, nad piękną zatoką blisko słynnego jeziora Loch Lomond, w tzw. beczkach śmiechu stacjonowało

perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego.

Mietek, który chodził do niższej klasy, zjawił się jak znalazł, kiedy odchodząc musiałem zdać redakcję miesięcznika „Nasze Sprawy”. No nie była to żadna wielka rzecz, ot, kilkunastostronicowa powielana gazetka pisana na maszynie. Przynosiła różne teksty, często arcypoważne, choć kącika humoru nigdy nie brakowało. Pewnego dnia, kiedy nie było ochotnika do pracy, a do pracy społecznej, niepłatnej zazwyczaj tłoku nie ma, przyszedł Miecio i przejął redakcję. Dziś nasze nazwiska na pożółkłych egzemplarzach archiwalnych świadczą dobitnie o dawnej współpracy i zgodnie leżą w archiwum prasy polskiej wydawanej pod różnymi szerokościami geograficznymi.



Florian Śmieja (szósty z lewej na tle baraku) na obozie wojskowym w Szkocji w 1946 r., fot. arch. F. Śmieji.

Uczynność Mietka miała się najpełniej objawić, kiedy zaistniała największa potrzeba. Szkoła długo przygotowywała się do wystawienia jakiejś klasycznej polskiej sztuki. Wybór padł na Aleksandra Fredrę, chciano pokazać jego „Dożywocie". Rolę kobiecą powierzono dziewczynie, którą sprytnie wciągnięto z okolicy do współudziału. I wszystko szło dobrze, aż do momentu, w którym katecheta dowiedział się o kobiecie w szkole. Rozpętała się wielka burza. W krótkim czasie było wiele interwencji, akcji i kontrakcji. W rezultacie zapadła jednoznaczna decyzja: dziewczyna musi się wynosić i mowy nie było o tym, by miała zagrać w komedii.

Tyle więc przygotowań i nauki za jednym zamachem wzięło w łeb, z trudem wielkim klecona impreza dostała śmiertelny cios. Sprawa stała się beznadziejna. I wtedy wkroczył Miecio. Pomyślał i zaręczył, że załatwi problem. Radość zapanowała w obozie, kiedy rozeszły się wieści, że mimo wszystko sztuka będzie grana i że kobieca rola Rózi zostanie utrzymana.

Wieczorem sala była przepełniona. I to nie tylko dlatego, że lokalna miejscowość wielu atrakcji żołnierzom nie oferowała, ale że tę komedię, zapowiadaną z dawna i przez pewien czas zagrożoną, chcieli oglądać wszyscy. Główna para męskich protagonistów, Herzog i Maciejowski, zaczęła brylować na scenie z taką maestrią, że się koledzy pokładali ze śmiechu. I

wtedy pojawiła się Rózia. Najautentyczniejsza panienka, liryczna i kokieteryjna, ze swoimi niewinnymi minkami, ale i wyraźnymi insynuacjami. Ona wnet swoją kobiecą zaborczością zawojowała akcję i podbiła serca audytorium.

Nie pamiętam już, czy katecheta był na sali. Jeżeli był obecny to mógł się w pierwszych chwilach przerazić, że nie okazał się tak skutecznym młotem na heretyków, za jakiego się miał, że nie upilnował by szkoła nie była koedukacyjna. A na scenie ten głos rozlegający się z triumfem i te harce na podium.

Wreszcie ostatnia scena i nie kończące się brawa. Rozswawolona Rózia rzucała się na szyję aktorom, nie zważając na to, że była fotografowana. Niewiarygodna scena, nieprawdopodobna gra. Znakomitą Rózią okazała się być nie mniej ni więcej tylko Mieciem. Niezastąpiony, uczynny, znakomity aktor.

I tak nasz ojciec jezuita postawiwszy na swoim, stworzył nam jednopłciowy teatr jezuicki, ale jeżeli poczuł ulgę na widok chłopa w spódnicy, to może i te przebieranki nie mogły mu zbyt dobrze się kojarzyć.

Polska historia na światowych rynkach księgarskich. „Garden of Venus” Ewy Stachniak.

Rozmowy o ksiażkach, które nie przemijaja

W 2005 roku ukazała się na kanadyjskim rynku wydawniczym (po wydaniu w Londynie) książka Ewy Stachniak – *Garden of Venus*. Fabuła powieści oparta jest na polskich wątkach, a jej akcja toczy się na przełomie XVIII i XIX wieku. W *Garden of Venus* pojawiły się tematy spotkania kultur, weryfikacji mitów, spojrzenia na siebie i

własną przynależność narodową. Bohaterowie to: Thomas Lafleur, Francuz, chirurg, który jako lekarz przeszedł kampanię napoleońską, Rosalia, córka oficera Legionów oraz Piękna Bitynka, Greczynka, która wspaniale radziła sobie w polsko-rosyjskiej rzeczywistości XVIII wieku, czyli Zofia Celice-Clavone (Glavani) vel de Witt – Potocka, umierająca w Berlinie w 1822 roku na raka.



Ewa Stachniak, fot. arch. Ewy Stachniak.

Joanna Sokołowska Gwizdka:

Dlaczego pierwsze wydanie książki ukazało się najpierw w Londynie w wydawnictwie HarperCollins?

Ewa Stachniak:

Pierwszą ofertę otrzymałam właśnie od londyńskiego wydawcy, a HarperCollins w Kanadzie kupił powieść w kilka tygodni później. Potem doszły różnice w cyklu wydawniczym. Obie firmy, choć działające niezależnie, często ze sobą współpracują, i to uprościło bardzo prace edytorskie nad końcową wersją mojej powieści. Pracowałam z Susan Watt, znaną londyńską redaktorką, która redagowała m.in. *Dziewczynę z perłą*. Cieszę się, że spodobał jej się mój *Garden of Venus*, podobały jej się powołane przeze mnie postacie, relacje między nimi i cała fabuła. Jej komentarze edytorskie były dla mnie bardzo cenne. Susan Watt to czytelnik inteligentny i wrażliwy, i jeśli ona mogła pogubić się w pewnych fragmentach historycznej narracji, był to dla mnie znak, że muszę raz jeszcze przeczytać ten fragment i wyjaśnić historię, uzasadnić motywy.

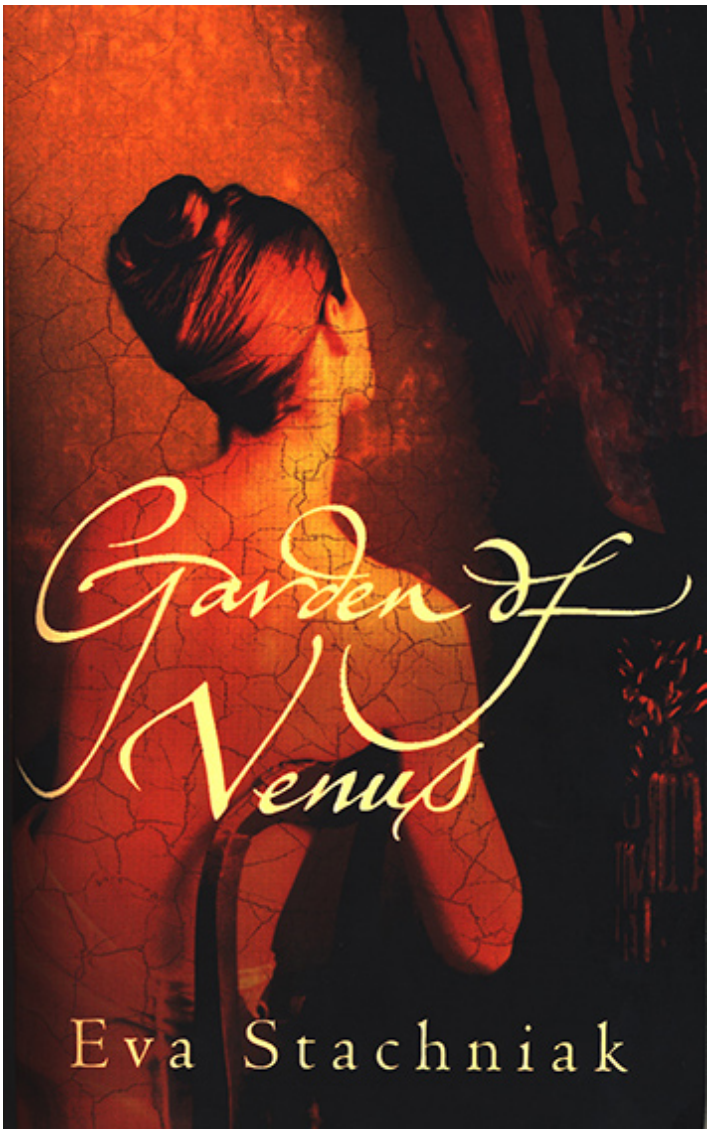
Dla angielskojęzycznego czytelnika, nie mającego wiele wspólnego z Polską, historia tego okresu może być dość skomplikowana.

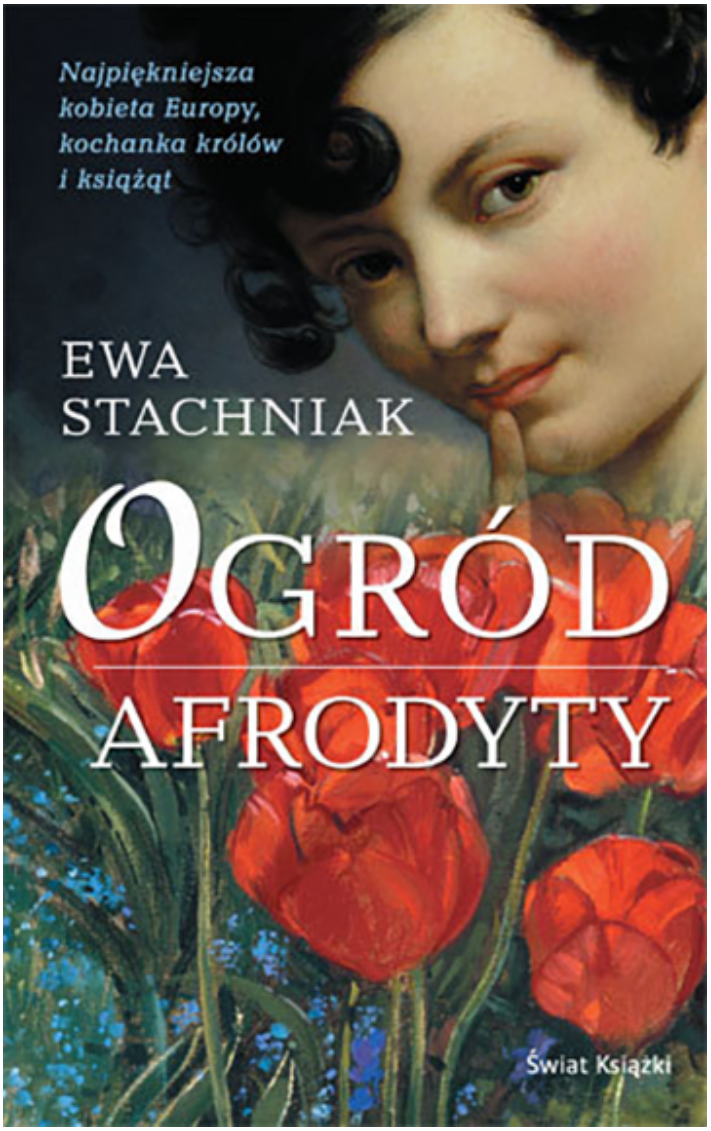
Tak, bo mówimy o Polsce XVIII i XIX wieku, mówimy o zaborach, powstaniu kościuszkowskim, potem o okresie napoleońskim i Księstwie Warszawskim. Polska historia jest rzeczywiście bardzo skomplikowana, szczególnie pod względem geopolitycznym. Tereny, zagarnięte przez Rosję, po kolejnym rozbiorze nagle stają się austriackie, ziemie leżące na terenie Księstwa Warszawskiego, wchodzą do zaboru rosyjskiego. My, Polacy, te wszystkie zawiłości historii znamy, ale dla czytelnika angielskojęzycznego rozbiory i ich konsekwencje to terytoria nie do spenetrowania bez przewodnika wkompowanego w fabułę powieści. Susan pytała np., czy jeżeli bohaterka mieszka w Humaniu, to czy mieszka w Polsce, w Rosji czy na Ukrainie? Musiałam jej wytłumaczyć, że najpierw pani Potocka mieszkała w Polsce, potem w Rosji, ale zawsze na Ukrainie. I tak powoli, powoli rozsupływałyśmy te narodowościowo-geograficzne zawiłości. A było ich sporo.

Pani powieść rozgrywa się w dwóch historycznych czasach, czasie rzeczywistym czyli w 1822 roku i w czasie przeszłym, pojawiającym się w retrospekcjach.

Akcja powieści rozgrywa się w przeciągu kilku tygodni w Niemczech w 1822 roku. Zofia Potocka w drodze do Paryża zatrzymuje się w Berlinie. Jest ciężko chora na raka, nie jest w stanie dalej jechać i tam umiera. Ale podczas gdy Zofia sięga pamięcią do sułtańskiego haremu w Istambule, salonów Marie-

Antoinette i amorów Potiomkina, inne postacie wspominają czasy powstania chłopskiego na Ukrainie, Insurekcji Kościuszkowskiej, marszu Napoleona na Moskwę i rozczarowania po napoleońskiej klęsce. Oczywiście powieść nie jest podręcznikiem historii. Historia jest tylko tłem dla ludzkich dramatów, które zaskakują i wciągają czytelnika.





Zofia – w powieści postać fikcyjna, wzorowana jest na konkretnej osobie – Zofii Potockiej, słynnej żonie Szczęsnego Potockiego. Czy inne postacie też mają konkretny pierwowzór?

Zofia nie jest jedyną bohaterką *Garden of Venus*. Oprócz postaci nakreślonych w oparciu o dokumenty historyczne, są też w mojej powieści postacie czysto fikcyjne, których losy są tłem i kontrastem dla losów Zofii. Jej dama do towarzystwa, a w

ostatnich miesiącach życia pielęgniarka, Rozalia, jest dziewczyną, której rodzice zapłacili najwyższą cenę za narodowe ideały i która szuka dla siebie miejsca w często nieprzyjaznym dla siebie świecie. Przy hrabinie Potockiej jest także francuski chirurg, który ma za sobą napoleońską kampanię oraz tragiczne doświadczenie żołnierskiego życia i okrucieństw wojny. Nie podziela napoleońskich sentymentów otaczających go Polaków, choć ma dla Polski i Polaków dużo sympatii. Ci inni bohaterowie mają wiele pierwowzorów. Żeby stworzyć portret Rozalii czytałam pamiętniki i listy z tego okresu, wydarzenia z jej życia są echem wydarzeń które spotkały inne osoby. Aby powstała postać Tomasza, studiowałam wspomnienia chirurgów, którzy przeszli kampanię moskiewską u boku Napoleona.

Tworzenie świata fikcji, opartego na autentycznych przeżyciach, musi być szalenie ciekawe. Fantastycznie jest móc kierować swoimi bohaterami, ulżyć im w bólu, przyspieszyć spotkanie, przewidzieć konsekwencje itd.

Postać fikcyjną można stworzyć na przykład dając jej pewne wspomnienia z dzieciństwa, wyposażyć w takie czy inne cechy charakteru. Gdy postać zaczyna żyć własnym życiem, pisarz musi szanować jej wybory. Jest to dość długi proces wchodzenia w wykreowaną przez siebie osobę i stworzenia jej właściwej rzeczywistości, dzieciństwa, młodości, przeżyć i myśli. Przy tworzeniu postaci Tomasza – francuskiego chirurga – musiałam

wymyśleć dla niego dzieciństwo spędzone na ulicach Paryża podczas Wielkiej Rewolucji, jego rodziców, dziadków.

Czy aby stworzyć tę postać, zapoznawała się pani z wiedzą medyczną tego okresu?

Tak. Tworząc postać Tomasza, napoleońskiego chirurga, musiałam być pewna jaką wiedzą medyczną, jakimi środkami dysponował, jakie poglądy wyznawał. Musiałam zadecydować jak traktował pacjenta, kiedy gotów był na operację, a kiedy mógł uznać stan pacjenta za beznadziejny.

Tu wielkie podziękowanie należy się internetowemu forum dyskusyjnemu historyków medycyny – *Caduceus*. Gdy miałam jakiekolwiek pytania, np. jakie jest prawdopodobieństwo, że lekarz w 1822 roku poda pacjentce morfinę, wysyłałam je w cyberprzestrzeń i czekałam. Często już po kilku minutach otrzymywałam odpowiedź, że w 1822 roku, paryski lekarz zainteresowany nowościami medycznymi mógł użyć morfinę.

Wszystko, co się zdarzyło w tej książce nie musiało, ale mogło się zdarzyć.



Ewa Stachniak podczas wieczoru autorskiego w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 2005 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Ewa Stachniak podczas wieczoru autorskiego w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 2005 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Skąd pomysł na tytuł powieści, czy miała pani taki zamysł od początku, zajmując się postacią Pięknej Bitynki, czy też tytuł powstał z czasem?

Tytuł zasugerowała moja agentka. Myślałam nad „Ogrodem Zofii" tzn: „Sophie's Garden", ale wydawcy obawiali się że zbyt mocno będzie kojarzyć się z „Sophie's Choice." Została więc

„Wenus”, lub „Afrodyta”.

Forma powieści, przy zachowaniu wielu detali zgodnych z epoką, jest wspaniałym pretekstem do przekazania dużej ilości informacji z dziejów Polski i przybliżeniu polskiej historii szerokiemu gronu.

Losy pięknej Greczynki, są punktem wyjścia do mojej kolejnej próby odpowiedzi na pytanie “Skąd jesteś?” pytanie, które często zadaje się przybyszom do Kanady. W mojej pierwszej powieści, *Necessary Lies (Konieczne Kłamstwa)*, odpowiadałam, jestem z Wrocławia, miasta o podwójnej historii, polskiej i niemieckiej. Jestem z kraju, w którym tożsamość uwarunkowana jest pamięcią ostatniej wojny, w którym odkrywamy zapomniane pokłady naszej historii, w którym ciągle rozliczamy się z przeszłością. W *Garden of Venus* opowiadam historię utraty niepodległości, ceny jaką trzeba było za tę utratę zapłacić. Opowiadam historię polskich rozczarowań i nadziei. Historię czasów trudnych, ciągle naszych, ciągle przypominających o swoim istnieniu, historię która nas uformowała i na którą warto jeszcze raz popatrzeć, teraz, kiedy ta wymarzona niepodległość znów jest nasza.



Ewa Stachniak (z prawej) i Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas wieczoru autorskiego w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, 2005 r., fot. Jacek Gwizdka.

***Zofia Celice-Clavone**, Greczynka w wieku 17 lat została sprzedana przez matkę Karolowi Boscampowi, ministrowi polskiego króla. Później została żoną Józefa Witta, komendanta kamienieckiej twierdzy, a w w 1798 roku wyszła za mąż za Szczęsnego Potockiego. Stanisław Szczęsny był wojewodą ruskim i generałem w armii rosyjskiej. Pierwsza jego żona,*

Gertruda Komorowska, zginęła tragiczną śmiercią, z drugą zaś, Józefiną z Mniszchów, matką jego jedenaściorga dzieci, rozwiódł się, aby poślubić właśnie piękną Zofię, która odkupił od Jozefa Witta.

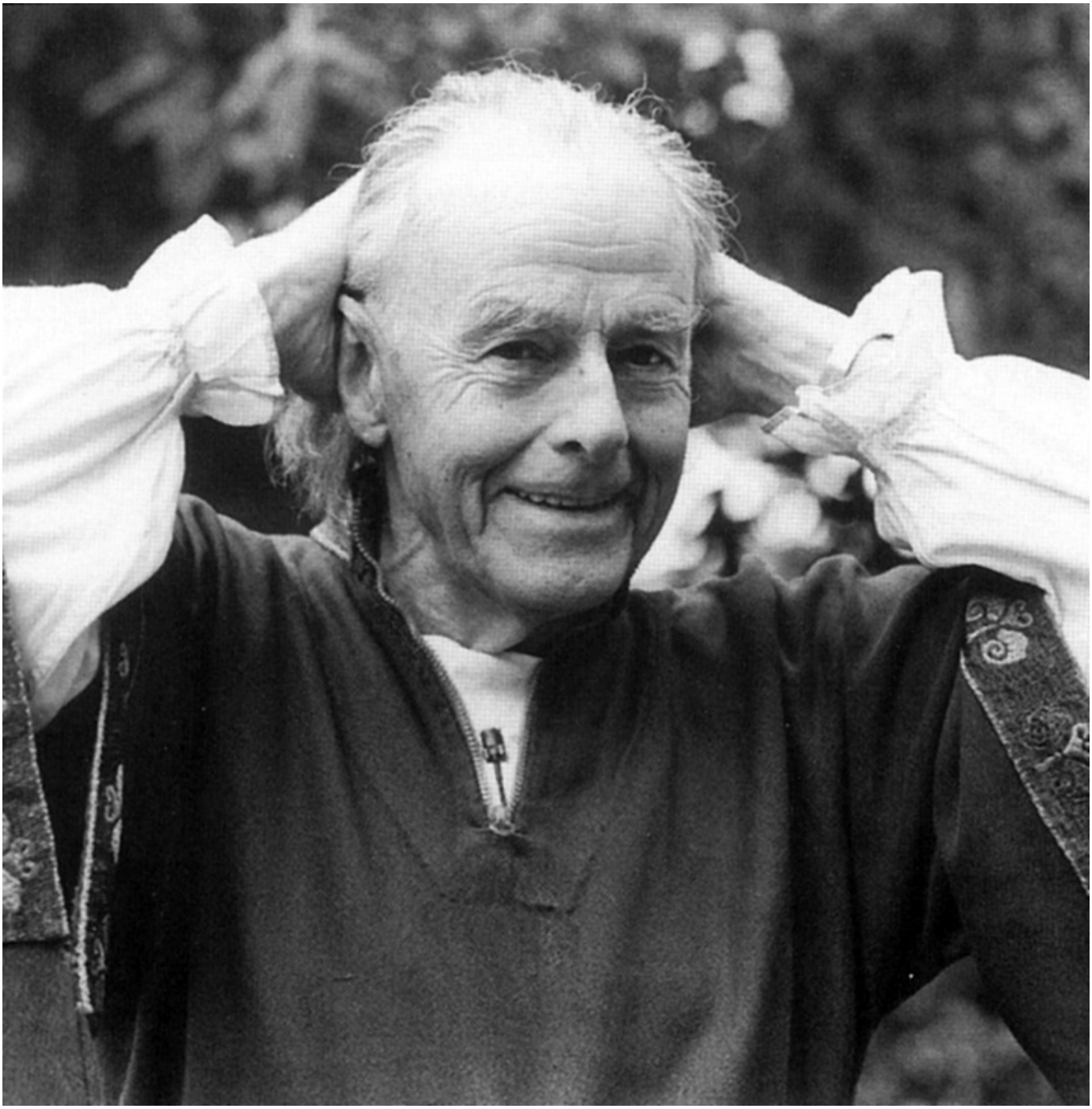
Zofia odznaczała się wyjątkową urodą, inteligencją i… brakiem skrupułów. Podróżowała wiele po Europie i została kochanką hrabiego Prowansji, późniejszego króla Ludwika XVIII, a także faworyta Katarzyny Wielkiej, księcia Potiomkina. Potockiemu, nim jeszcze stała się formalnie jego żoną, urodziła trójkę nieślubnych dzieci, które zmarły. Później została faworytą carskiego gubernatora Nowosilcowa. Po śmierci Potockiego sądziła się z dziećmi Mniszchówny i dla swoich dzieci wywalczyła olbrzymią fortunę.

Jej syn Mieczysław wyrokiem sądu został właścicielem rodowego Tulczyna. Stosunki pomiędzy matką i synem po jakimś czasie uległy jednak zmianie i Zofia ogłosiła publicznie, iż jej pierworodny syn nie jest potomkiem Szczęsnego, lecz weneckiego bandyty Caracolli'ego. Mieczysław odpowiedział także publicznie, że „być może i rozbójnik wenecki miał z matką stosunek i nie przeczę, że mogę być z niego zrodzony. Skoro jednak Stanisław Szczęsny Potocki uznał mnie za własnego syna i chrztem potwierdził to uznanie, jestem sukcesorem wydzielonego mi majątku, do którego nikt prócz mnie nie ma prawa". Rozwścieczony taki postępowaniem matki, wyrzucił ją z

domu, a sprawa oparła się aż o dwór carski. Doszło do pozornej zgody, ale pod naciskiem Nowosilcowa car wcielił Mieczysława do swojej gwardii. Mieczysław Potocki uciekł wkrótce z Petersburga i zjawił się u Delfiny Komarówny, aby prosić ją o rękę.

Kolejna książkę p.t. „Dysonans" Ewa Stachniak poświęciła synowej Zofii Potockiej – Delfinie z Komarów Potockiej.

Geoffrey Potocki de Montalk – „król Polski".



Geoffreya Potocki de Montalk, Wellington, Nowa Zelandia, 1984 r.

Florian Śmieja

Wśród moich szpargałów z londyńskich lat czterdziestych i pięćdziesiątch zachowały się druki hrabiego z Montalku Potockiego, który należał do malowniczych postaci polskiej

emigracji.

Na swoich odezwach, które własnoręcznie drukował ogłaszając otwarcie na marginesach ”Printed by His Majesty Władysław the 5th, King of Poland and Hungary” widniał herb a on sam przedstawiał się jako Władysław V Król Polski, Węgierski, Czeski, Wielki Ks. Litewski, Śląski, Kijowski, Hospodar Multański. hr. z Montalku Potocki.

Na pierwszej stronie Odezwy II pod wzmiankowanym herbem i tytułami widnieje cytat z Jana Ostroroga po polsku i po angielsku „Król Polski nie podlega nikomu prócz Boga”. Na to dictum chyba powoływał się w angielskim sądzie, w którym zjawił się w drewnianej koronie i monarszym płaszczu.

Skarżył się autor odezwy na przemilczanie przez polskie władze jego osoby i działalności podnosząc zalety swoje m.in. jako tłumcza na angielski „Dziadów cz. III” Adama Mickiewicza. Apelował do rodaków o wsparcie. Ulotkę kończył patetyczny dwuwiersz”

> Czy nie wstyd wam

> żeśmy w takiej biedzie!

W roku 1950 poleciliśmy naszej koleżance ze studiów, by napisała w imieniu studentów polskich w Cork w Irlandii list hołdowniczy do ekscentrycznego rodaka. Otrzymała kurtuazyjną odpowiedź adresowaną do „Mademoiselle la comtesse Ewa Ponińska".

Film dokumentalny z 1987 roku o hrabim Geoffrey z Montalku Potockim:

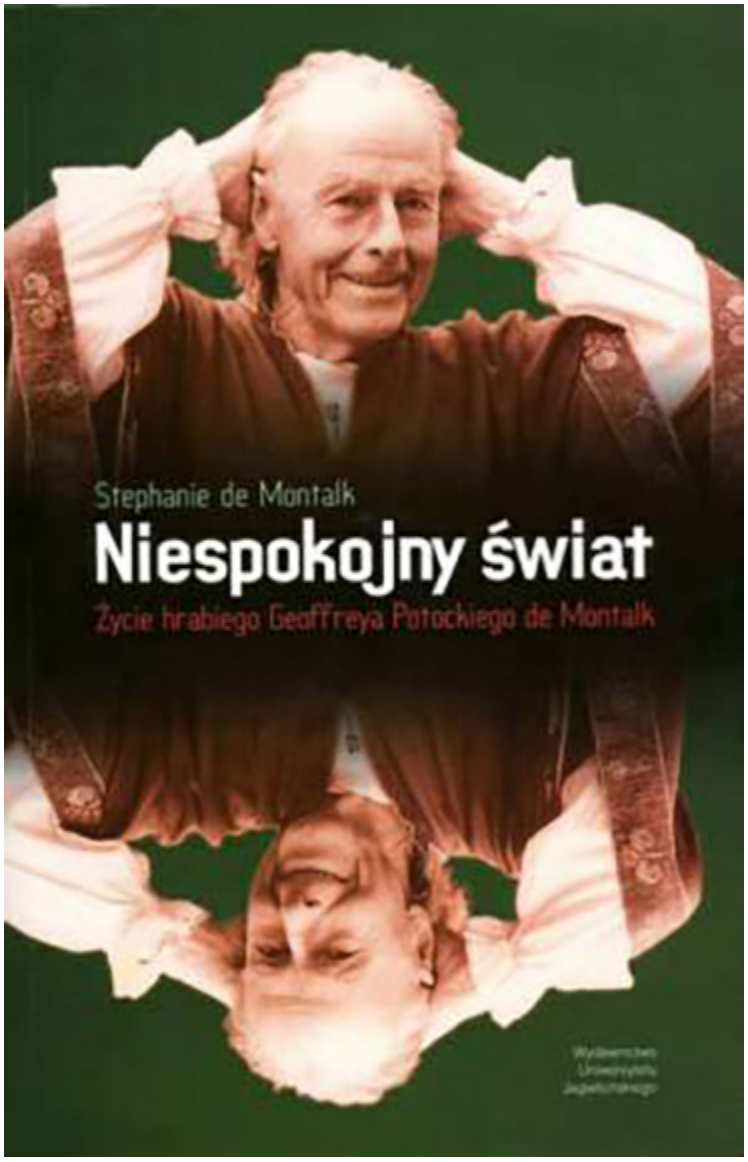
https://www.youtube.com/watch?v=n1akpb3nnWs

W 2001 roku w wydawnictwie Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazała sie książka Stephanie de Montalk o jej krewnym, ekscentrycznym hrabim, p.t. „Niespokojny świat. Życie hrabiego Geoffreya Potockiego de Montalk". Oto nota od wydawcy:

Niespokojny świat... to książka po raz pierwszy opowiadająca historię Geoffreya Potockiego de Montalk. Wykracza poza ramy

gatunkowe biografii, dostarcza zaskakujących informacji o londyńskiej obscenie, cenzorze, skrajnie prawicowych politykach oraz prywatnej działalności wydawniczej Potockiego.

Hrabia Geoffrey de Montalk Potocki (1903-1997) – poeta, ekscentryk. Należał do pokolenia błyskotliwych nowozelandzkich poetów (z A.R.D. Fairburnem, R.A.K. Masonem). Stał się sławny w 1932 roku, gdy po londyńskim procesie, w którym bronił go Leonard (mąż Virginii Woolf), skazany został na pół roku więzienia za próbę opublikowania obscenicznego wiersza. Od tego czasu ekscentryzm Potockiego nasilał się: hrabia przywdział średniowieczne szaty, osiadł na południu Francji i zajął się wydawaniem własnych wierszy i pamfletów.


Stephanie de Montalk
Niespokojny świat
Życie hrabiego Geoffreya Potockiego de Montalk

Czy świat Indian się zmienia?

Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki „Otwarta rana Ameryki”.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas Miedzynarodowych Targów Ksiazki w Krakowie, 2007 r., fot. arch. A. Ziółkowskiej-

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

„Otwarta rana Ameryki" to książka głęboko osadzona w problematyce „Native Americans". Mimo, że mieszkam w USA o wielu rzeczach nie wiedziałam, ta książka otworzyła mi oczy na historię i współczesność amerykańskich Indian. Jednocześnie znacznie się różni od poprzednich Pani książek, choćby od „Kai od Radosława".

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Jest to książka inna od moich poprzednich ze względu na tematykę, ale sposób pisania i ton narracji jest podobny, do choćby przywołanej przez Panią „Kai od Radosława". Obie książki pisałam w Stanach Zjednoczonych, jedna traktuje o polskiej historii, druga o amerykańskiej. Wydarzenia tragiczne, o których piszę, są po obu stronach oceanu równie smutne. Zaangażowanie emocjonalne w tematykę towarzyszyło mi przy pisaniu obu książek. Moim zdaniem, nie ważne, czy mija 10, 50 czy 100 lat od zdarzeń, o których piszemy, ważne jest, by mieć w sobie przekonanie, że jest to historia warta opowiedzenia, aby o niej napisać tak, by wywołała wzruszenie, by czytelnicy byli nią także przejęci. Dla mnie jest to ważna książka także dlatego, że pokazuję trochę „moją Amerykę".

Jakie konsekwencje dla warsztatu pisarskiego powoduje

taka zmiana obszaru zainteresowań? Czy wyostrza spojrzenie na nowe problemy?

Jeżeli mogę tak określić: wiele razy pisaniem odpowiadam na sytuacje, czy rzeczywistość, która się wkoło mnie dzieje. Od 1990 roku mieszkam na stałe w Stanach Zjednoczonych. We wstępie do „Kai od Radosława" przywołałam przesłanie (które lubię przytaczać) usłyszane od Isaaca B. Singera – do pisania trzeba mieć „story to tell", pasję, by o niej opowiedzieć i przekonanie, że właśnie ja chcę to zrobić. W czasie pisania obu książek zaistniało we mnie takie przekonanie. Jeżeli chodzi o „Kaję od Radosława", zabrało mi niemal 30 lat, by sobie to uświadomić, ale i w przypadku książki indiańskiej, trzymało mnie ono w szczególnym napięciu wiele lat. O tej tematyce myślałam od dawna, książkę pisałam, z dużymi przerwami, dziesięć lat.

Dlaczego zmagała się Pani z tym tematem aż 10 lat?

Przez długi okres sądziłam, że nie jestem w stanie opisać tematu, który jest trudny i złożony. Obawiałam się, że nie poradzę sobie z nim. Zdawałam sobie sprawę, że im dalej od ludzi innych kultur, tym łatwiej można ulec na przykład romantycznym wyobrażeniom na ich temat. Bałam się także, że będę się kierować sentymentalizmem, że zapanuje urzeczenie innością, egzotyką, że napiszę książkę, która będzie jeszcze jedną „wersją białego człowieka". Więc się nie spieszyłam. Chciałam przespać,

jakby powiedzieli Irokezi, z tym tematem niejedną noc.



Tomasz Tomczyk, lat 8, fot. arch. A.Z-B.

Przygotowywałam się do tej książki wiele lat, nie tylko czytając, ale śledząc bieżące wydarzenia. Zaprenumerowałam dwa indiańskie pisma ”Lakota Country Times” i ”Indian Country Today”, czytałam też „The Morning Star”. Odbyłam trzy razy wyprawy do rezerwatu Pine Ridge w Południowej Dakocie, byłam w rezerwatach indiańskich w Teksasie, Montanie, Wisconsin, odwiedziałam też terytoria indiańskie w Oklahomie. Im bardziej się zapoznawałam z tym tematem, tym się on bardziej jakby ode mnie… oddalał. Ale mnie kusił, ekscytował i wciągał, i się nie

poddałam. Mój mąż Norman bardzo mi sekundował, wspólnie robiliśmy dalekie wyprawy, przejechaliśmy terytoria indiańskie w Oklahomie. Jeździliśmy na kolejne „pow-wow", a przede wszystkim do rezerwatów w obu Dakotach, w Montanie. Spędziliśmy 2,5 miesiąca w Pine Ridge Reservation w Południowej Dakocie, drugim największym rezerwacie w Stanach.

Zwyczajem amerykańskim, który ogromnie cenię, w miarę możliwości sponsorowaliśmy między innymi trzy szkoły indiańskie (Norman, protestant, podziwiał, że wszystkie trzy są prowadzone przez kościół katolicki). Nawiązaliśmy osobiste kontakty z Indianami i teraz, po latach, mogę powiedzieć, że wśród naszych przyjaciół jest dwóch Indian. (Cytuję ich w książce „Kaja od Radosława", gdzie w Aneksie podałam wypowiedzi Amerykanów, jak kojarzą Syberię, i co wiedzą na temat Powstania Warszawskiego).

W ciągu tych lat drukowałam reportaże i eseje w wielu pismach. Ogromnie cenię, że w „Polityce" w cyklu „Na własne oczy" wydrukowano mój duży reportaż p.t. „Nadciągają Indianie". Pisałam do „Odry", „Borussi", „Rzeczpospolitej", do nowojorskiego „Przeglądu Polskiego", angielskojęzycznego „New Horizon". Powstającą książką interesował się między innymi Jerzy Giedroyć, którego temat Indian niemal fascynował.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas pow-wow w Austin, Teksas, fot. arch. A. Ziółkowskiej-Boehm.



Norman Boehm przy wjeździe do rezerwatu Pine Ridge, Dakota Południowa, 1995 r., fot. Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

Proszę opowiedzieć o przyjaźniach z Indianami, które nawiązały się przez ten czas? Co Pani w nich ceni najbardziej?

To, co w każdej przyjaźni, serdeczność i lojalność. Moi znajomi Indianie są zainteresowani książką, wysłałam im także jej polską wersję. Przysyłali mi via Internet fotografie. Od lat tłumaczyli mi cierpliwie sprawy, które nie są proste, np. różne typy własności ziemi na terenie rezerwatów. Ujmuje mnie, gdy mi opowiadają sprawy dla nich niemal osobiste. Rod Trahan, Szejen Północny, opowiedział mi o pogrzebie swojej babki. W pewnym momencie zatrzymał się i powiedział, że więcej nie może mi powiedzieć, bo

nie jestem Indianką. W książce jest rozmowa z nim, jak i z przedstawicielem Apaczów, Kiowa, Chickasaw.

Gdy przejeżdżałam przez indiańskie rezerwaty w Kanadzie i w Stanach widziałam Indian, którzy absolutnie odbiegali od obrazu kształtowanego przez filmy o „Dzikim Zachodzie", na których się wychowałam. Zamiast tradycyjnych strojów – „adidasy", podkoszulki z wielkimi napisami reklamującymi np. hamburgery, farbowane włosy, trwała ondulacja, czy ubiór niemal zdjęty z lalki Barbie. Widziałam też Indian tworzących sztukę na sprzedaż, jakby chcieli dać turystom taki obraz siebie, jaki oni chcą zobaczyć. Czy według Pani Indianie są w stanie obronić swoją kulturę i nie ulec komercjalizacji amerykańskiego życia? Czy mają na to szanse bez pomocy „białych"?

To jest bardzo złożony problem. Część Indian wchodzi w świat i kulturę dominującą w Stanach Zjednoczonych, jest wiele małżeństw mieszanych, ale większość mieszka w rezerwatach na zachodnich terenach – w obu Dakotach, Montanie, i niewiele zmienia się ich świat mimo upływających lat. Piszę o tym w rozdziale „Smutek rezerwatów". W Pine Ridge bezrobocie sięga 88 procent, co trzeci dom nie ma elektryczności czy kanalizacji. Szerzy się alkoholizm, choć zabroniona jest sprzedaż alkoholu na terenie rezerwatów. Nie mogłam spytać małego synka poznanej

Indianki, o czym marzy, kim chciałby zostać, gdy dorośnie. Bo jego ojciec jest na bezrobociu, podobnie jak był dziadek i pradziadek. Skąd ma mieć wzór?

Wspomniała Pani o indiańskich „tradycyjnych strojach”. Przed wielu laty odwiedził mnie w Warszawie syn zaprzyjaźnionej kanadyjskiej rodziny polskiego pochodzenia. Powiedział mi, że jest zaskoczony…, że w Polsce ludzie nie chodzą w „ludowych strojach”, które pamiętał z wystąpień polonijnych zespołów.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas pow-wow w St. Labre Indian School, Maryland, 2004 r., pierwszy z prawej Rod Trahan – Północny Szejen, fot. Norman Boehm.



Bawiące się indiańskie dzieci, Cahmberlain, South Dakota, fot. Aleksandra Ziolkowska-Boehm.

Co jest według Pani w tej książce najważniejsze?

Pokazuję złożoność ogólnego problemu, pokazuję także każdą dobrą inicjatywę, bo takie są. Piszę o biedzie, ale piszę o ogromnych dochodach z kasyn gry. Przynoszą one więcej dochodu w Kalifornii niż kasyna np. w Nevadzie. Indianie w Kalifornii sponsorują z otrzymanych dochodów wiele pięknych akcji, stawiają szkoły, szpitale, budują drogi. Ale to jest niewielki procent. Na ponad 500 plemion, każde z nich ma inną historię, także obecną rzeczywistość i perspektywy. Piszę o nadziei, jakie budzą szkoły indiańskie, o edukacji, która jest kluczem otwierającym szeroko drzwi, i piszę o trudnościach, których sami

Indianie nie umieją, ale też często nie chcą przełamać.

Zastanawiam się, ale nie mam gotowej odpowiedzi, nad wieloma sprawami. Na przykład – czy Indianie są tak fundamentalnie inni od innych mieszkańców Stanów Zjednoczonych, że wymagają osobnej kategorii praw, które nie mają wiele wspólnego z przeciętnym amerykańskim systemem wartości, czy są jeszcze jedną grupą tworzącą getta i etniczne enklawy.

W książce piszę między innymi o indiańskich szyfrantach (*code talkers*), o kobietach, które nazywam indiańskimi księżniczkami, o swoich odwiedzinach na farmie w Wisconsin, gdzie urodził się biały bizon, symbol zmian i dobrej wróżby.

Dotarła Pani do Indian z wielu plemion, pisze pani nie tylko o Indianach Lakota, gdzie spędziła pani najwięcej czasu. Starała sie pani zrozumieć, co ich łączy, a co dzieli. To cenna obserwacja, którą można wyczytać w książce. Mnie zdumiało, że Indianie, którzy nawet doszli do wysokich pozycji w amerykańskim społeczeństwie, mają głęboką niechęć do plemion, które w przeszłości wyrządziły im krzywdę. Mój mąż, Jacek, rozpoczynając pracę na Uniwersytecie w Austin w Teksasie, przez trzy miesiące wynajmował pokój u swojej koleżanki, która miała duży dom. Koleżanka – profesor na Wydziale Nauki o Informacji, jak się okazało, była Indianką urodzoną w rezerwacie.

Zajmowała się tematyką indiańską w swoich pracach badawczych. Jacek pochwalił się, że zna Polkę, która napisała książkę o Indianach. – A z jakiego plemienia – podchwyciła Indianka. – Chyba Lakota – odpowiedział. – Ja pochodzę z plemienia Ojibwe i my nie chcemy o Lakota słyszeć – odpowiedziała. Jej twarz mówiła, że to dla niej bolesny temat. Nigdy więc Jacek do niego nie wracał.

Są historyczne uzasadnienia do wzajemnych dąsów, i niewybaczania krzywd. A czy my –Polacy nie mamy jakże bolesnych okrutnych doświadczeń z naszymi sąsiadami, i nie tylko z bliskimi sąsiadami?...



Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. Jacek Piotrowski.



Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie, 2007 r., fot. Jacek Piotrowski.

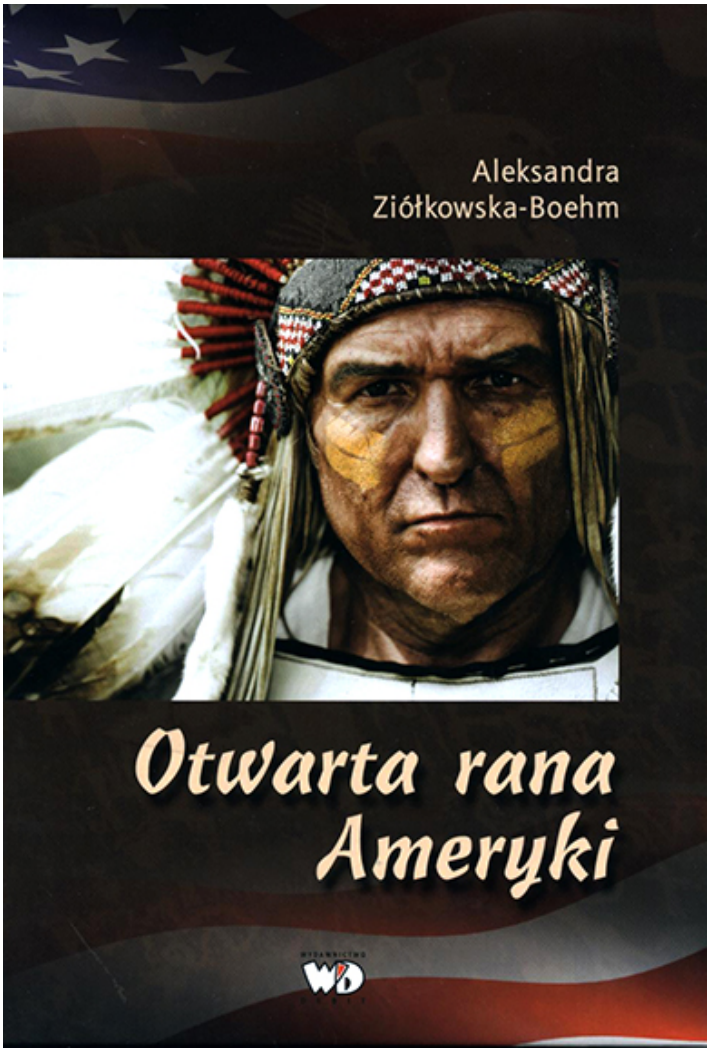
Książka pokazana była Targach Książki w Krakowie. Promocję ubarwiły indiańskie tańce. Proszę opowiedzieć jak czytelnicy, z którymi się Pani zetknęła odbierali tę książkę? Jak duże jest zainteresowanie tematyką indiańską w Polsce? Czy czytelnicy wychowani na lekturach Karola Maya i filmach o „Dzikim Zachodzie" nie oczekiwali, że będzie to książka przygodowa?

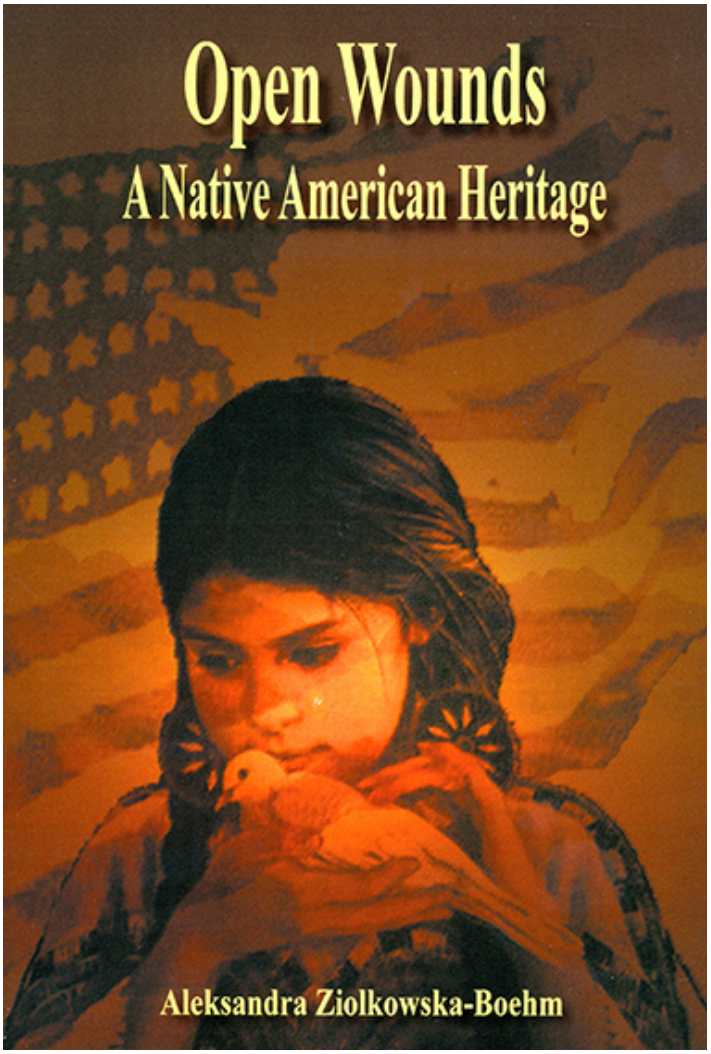
Tematyka indiańska w Polsce, co mnie niezwykle zdumiało, ale i urzekło, cieszy się dużym zainteresowaniem. Nie mówię o

książkach dla dzieci i młodzieży, czy o znanych od dawna autorach, jak James F. Cooper czy przywołany przez Panią Karol May, ale np. o piśmie TAWACIN, [1] które podejmuje poważną problematykę Indian. Jego redaktor naczelny Marek Maciołek (bardzo mi pomógł w polskim nazewnictwie), duży znawca tematu, wydaje także książki o tematyce indiańskiej. Na uniwersytetach w Polsce są wydziały amerykanistyki, archeologii, gdzie pisze się doktoraty na temat szeroko pojętej tematyki Indian. Dr Radosław Palonka z Uniwersytetu Jagiellońskiego w 2006 roku był stypendystą Fulbrigta na Uniwersytecie w Arizonie. Jego wiedzę na temat „Native Americans" miałam okazję podziwiać wysłuchując wykładu na sympozjum poświęconym Indianom (w którym i ja wzięłam udział) zorganizowanym m.in. przez Uniwersytet Jagielloński. Odbyło się w języku angielskim, ciekawe referaty przedstawili polscy goście, jak także autor książek Bruce E. Johansen z Nebraski i naukowcy z Włoch.

Na Międzynarodowej Konferencji Naukowej w Rzeszowie (25-27 września 2013) zatytułowanej: „Internationale Wissenschaftliche Konferenz. Przyjemność i cierpienia, czyli człowiek w świecie doznań. Genuss und Qual oder Der Mensch der Welt der sinnlichen Erfahrungen" dr Marcin Lutomierski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika zaprezentował wykład: „Cierpienia (i radości) współczesnych Indian w „Otwartej ranie Ameryki" Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm", który potem ukazał się w

książce.[2] Bardzo cenię ten esej.





„Otwarta rana Ameryki" była nominowana do nagrody Angelusa (2008). „Nowe Książki" poświęciły jej okładkę i obszerny tekst zatytułowany „Tylko w Ameryce można wyrzeźbić górę", PAP podał dużą notę, było wiele interesujących recenzji. Została przetłumaczona na język angielski. Jak odebrali ją angielskojęzyczni czytelnicy? Jakie są jej losy w Ameryce?

W Stanach ukazała się w wydawnictwie Nemsi Books w Południowej Dakocie pod tytułem: „Open Wounds a Native

American Heritage”, wstęp napisał Radosław Palonka. Chcę wspomnieć, że Nemsi Books od kilku lat wydaje książki popularnego w Europie, a nieznanego w Stanach Zjednoczonych Karola Maya.

Wydanie mojej książki wsparli Apacze, jest podziękowanie od wydawcy. Pisały o niej pisma indianskie (np. „The Morning Star”), także interesujace głosy, recenzje napisali między innymi: **John R. Alley, Bruce E. Johansen, Zbigniew Brzeziński, Audrey Ronning Topping, Stanley Weintraub, Robert Ackerman, Homer Flute, Florence W. Clowes, Larry Cunningham, Angela Baldwin.** Książka ma mieć wydanie w audiobooku (w języku polskim i w języku angielskim). [3]

Chcę wspomnieć, że mój mąż, który podzielał moją pasję, po wydaniu książki towarzyszył mi w spotkaniach autorskich w Polsce (oboje cieszyliśmy się starannym i pięknym wydaniem Wydawnictwa Debit), a także w Stanach.

Norman zmarł 26 maja 2016 roku. W nocie pośmiertnej podana była prośba, by zamiast kwiatów, wesprzeć Red Cloud Indian School – szkołę w rezerwacie Pine Ridge w Południowej Dakocie. Tak chciał.



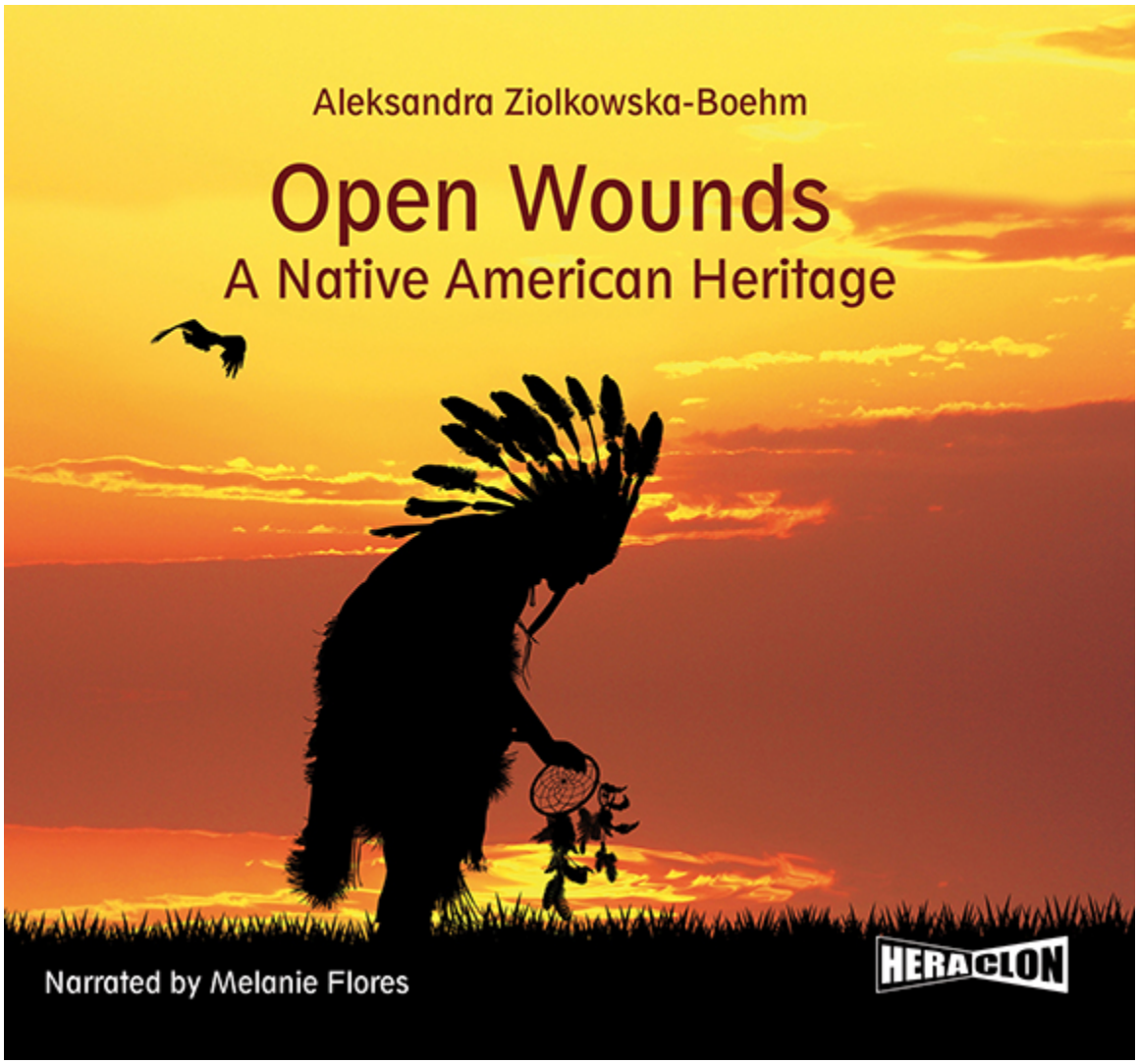
Norman Boehm na tle monumentu Crazy Horse, fot. Aleksandra Ziółkowska-Boehm.

---

[1] *TAWACIN, podtytuł „Pismo Przyjaciół Indian". W języku Siuksów oznacza „wiedzę, poznanie, mądrość".*

[2] *Esej ukazał się [w:] Marcin Lutomierski: „Folklor indiański w „Otwartej ranie Ameryki" Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm. Inspiracje folklorem w kulturze i edukacji", Wydawnictwo Pani Twardowska, Warszawa 2014. str.81-93.*

[3] *Aleksandra Ziolkowska-Boehm: Open Wounds: A Native American Heritage. W języku angielskim lektorem jest Melanie Flores, wydawcą Hercalon International, ISBN 978-83-8146-562-5.*



Audiobook, okładka.

O niezwykłym rzeźbiarzu Korczaku Ziółkowskim:

http://www.cultureave.com/kazdy-czlowiek-ma-swoja-gore-do-przeklucia-niezwykly-rzezbiarz-korczak-ziolkowski/

Zobacz też:

http://www.cultureave.com/syn-polki-i-indianskiego-wodza-sienkiewiczem-kanadyjskich-indian/

Kasztan



Wilno, fot. Tadeusz Szostak.

Romuald Mieczkowski

Był dzieckiem, gdy matka zabierała go na spacery do Ogrodu Bernardyńskiego. Mieszkali nieopodal, przy ul. Popławskiej 16. Lubił zbierać kasztany. Podczas jednego ze spacerów, w 1937 roku, znalazł drzewko bez korzeni. Ojciec wątpił, czy młody kasztan przyjmie się. Matka mówiła: “Zobaczysz, on jeszcze nas

przeżyje”.

Drzewko na wiosnę zazieleniło się, a potem zaczęło pięknie wzrastać. Aż zakwitło, zabrązowiło się pierwszymi kasztanami. Ciesząc oko, zaglądając liściem do okna.

W 1945 roku rodzice mieli opuścić dom. Jakże nie chciało się jechać na jakieś Ziemie Odzyskane! Tu miał kolegów, swój świat, pełen krętych uliczek obok Safianik i Popławów, tajemniczo porośniętych brzegów Wilenki i równie tajemniczych zmierzchów wokół Trzykrzyskiej Góry. 17 maja całą rodziną poszli na nabożeństwo majowe do Kościoła Misjonarzy na Subocz. Nie bardzo rozumiał, dlaczego wszyscy sąsiedzi płakali, obejmowali się. W rozmowach szeptem powtarzano słowo: NKWD.

Przedtem matka wybrała się na rynek. Poszukiwała litewską rodzinę, która jej spodoba się, by przekazać dom w dobre ręce. Dla ludzi młodych i potrzebujących, którzy nie muszą gdzieś wyjeżdżać. W ten sposób na Popławską przybyła rodzina Lukašunasów, “interes” został przypieczętowany dwoma butelkami bimbru. W domu sąsiadów – Kuszewskich, też pojawili się nieznajomi ludzie, i u Wróblewskich też.

Transportem nr 126 wyruszyli w nieznane. Wieźli swój dobytek, ograniczony do najniezbędniejszych rzeczy. Jechała też koza, jechała kura wysiadująca na jajkach. Po wielu dniach podróży, w

okolicach Bydgoszczy, szczęśliwie wykluły się kurczaki. Nazwali je bydgoszczakami, choć ojciec kiwał w zadumie głową i mówił: “Jakież one bydgoszczaki, one wileńskie”.

Różnie toczyły się dzieje rodziny, ostatecznie znaleźli swą przystań życiową w Olsztynie. Poumierali rodzice – Józef Kujawa i Helena z Tyszkiewiczów. Wilno odwiedził po wielu latach, po przełamaniu oporów wewnętrznych, by potem do miasta swej młodości podążać częściej, a nawet zachłannie, jakby chciał oddychać tym powietrzem, oglądać te obłoki, dotykać klamek starych drzwi. Pokochał miasto znowu, miłością bezinteresowną i wielką, całym doświadczeniem przeżytych lat, niespełnionych marzeń, wydobywających się z sieci dalekiej niepamięci.

Niczym pod wpływem magnesu jego wędrówki wileńskie zaczynały się i kończyły przy ulicy Popławskiej. Nie ma tu już rodzinnego domu, ani domostw pani Nowackiej, Kuszewskich, Wróblewskich. Tak samo tylko toczy swe wartkie wody niezmordowana czasem Wilenka. Od Belmontu po Ostrą Bramę zmieniono układ ulicy, obok zachowanych budynków dawnego Getta Żydowskiego.

Trudno było określić po latach, gdzie stał dom jego rodziny, gdyby nie kasztan, zasadzony dziecięcą ręką. Stary człowiek podchodzi, głaszcze drzewo, jak relikwie zbiera z trudem z ziemi kasztany. Czasem wydaje się, że Henryk słyszy głos matki:

“Przeżyje on nas, przeżyje”.



Wileński kasztan, fot. Tadeusz Szostak.

Każdy człowiek ma swoją górę do przekucia.

Niezwykły rzeźbiarz Korczak Ziółkowski.

Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowska-Boehm



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Norman Boehm na tle pomnika Crazy Horse w Południowej Dakocie, 1995 r., fot. arch. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Kiedy byłam w szóstej klasie szkoły podstawowej, zaintrygowała mnie książka Olgierda Budrewicza „Nasi za oceanem". Z historii tam opisanych zapamiętałam i przeczytałam kilkanaście razy rozdział o Korczaku Ziółkowskim. Nie mogłam uwierzyć, że jest na świecie Polak, który dokonuje tak wielkiego dzieła. Wyobrażałam sobie, że może staje po stronie prawa do wolności dla prawowitych mieszkańców Ameryki, bo pochodzi z narodu, który przez ponad 100 lat był pod zaborami. Korczak Ziółkowski to Pani rodzina.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Pamiętam, jak w dzieciństwie, w rodzinnych opowieściach wracała postać krewnego ojca, Korczaka Ziółkowskiego, rzeźbiarza z Południowej Dakoty, którego rodzice, Anna i Józef Ziółkowscy, wyemigrowali do Stanów. Dużo jednak w domu się o nim nie rozmawiało. Ameryka i Korczak byli daleko, a rzeczywistość w Polsce wymagała od rodziny pełnego zaangażowania, by sobie poradzić z dniem codziennym. Żadnych planów odwiedzin czy wyjazdu nikt nie snuł. Upłynęły lata, kiedy odwiedziłam Crazy Horse Memorial.

Urodził się w Bostonie 6 września w 1908 roku. Imię Korczak (które przyjął później sam) pochodzi od herbu rodziny

Ziółkowskich. Rodzice jego zginęli tragicznie, kiedy miał rok. Wychowywany był przez różnych ludzi i miał wiele smutnych doświadczeń. Spotkał jednak także osoby, które się nim serdecznie zajęły. Do nich należał rzeźbiarz Jan Kirchmayer, który wykonywał prace rzeźbiarskie w nowojorskiej katedrze, także sędzia Frederick Pickering Cabot. Po śmierci Cabota Korczak wykonał jego popiersie w marmurze.

Za rzeźbę popiersia Ignacego Jana Paderewskiego w 1939 roku Nowym Jorku dostał pierwszą nagrodę. Mając 34 lata zgłosił się na ochotnika, wziął udział w drugiej wojnie światowej. W 1948 roku w skałach Black Hills rozpoczął rzeźbę wodza Crazy Horse'a. Jak powiedział Henry Standing Bear („Mato Naji"), wódz Oglala Lakota: "My fellow chiefs and I would like the white man to know that the red man has great heroes, too". *(Ja i moi przyjaciele wodzowie chcielibyśmy, aby biały człowiek wiedział, że czerwonoskórzy mają również wielkich bohaterów).*



Wizyta w Crazy Horse Memorial, 1985 r., rzeźba Korczaka Ziółkowskiego przedstawiająca Ignacego Jana Paderewskiego, fot. arch. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Korczak Ziółkowski od najmłodszych lat przejawiał duży talent rzeźbiarski. Pracując jako cieśla okrętowy po godzinach rzeźbił w drewnie. Potem stał się cenionym twórcą mebli artystycznych. Gdy w 1932 r. przeprowadził się do Hartford w stanie Connecticut, zaczął rzeźbić zawodowo i sprzedawać swoje prace. Jak Pani przypomina, otrzymał pierwszą nagrodę na wystawie światowej w Nowym Jorku w 1939 roku za rzeźbę przedstawiającą

wielkiego Polaka, Ignacego Jana Paderewskiego. Czy rzeźba ta była jeszcze gdzieś pokazywana?

Popiersie Ignacego Jana Paderewskiego jest od lat w Crazy Horse Memorial w Południowej Dakocie.

Rzeźbiarz Gutzon Borglum zaproponował Korczakowi Ziółkowskiemu współudział przy tworzeniu słynnych Głów Prezydentów (George'a Washingtona, Thomasa Jeffersona, Abrahama Lincolna i Theodore'a Roosevelta) w ścianie Góry Mount Rushmore w Dakocie Południowej. Korczak Ziółkowski przyjął tę propozycję i zaczął prace. Wyrzeźbił też postać Noaha Webstera. Czy to prawda, że za głowami prezydentów jest ukryty tunel, a w nim „kapsuła czasu", w której znajdują się kopie ważnych dla Stanów Zjednoczonych dokumentów, m.in. Konstytucji? Czy Głowy Prezydentów miały być symbolem panowania białego człowieka na amerykańskiej ziemi?

W drodze do Crazy Horse Mamorial zatrzymywałam się wiele razy w Mount Rushmore, ale niewiele wiem o „kapsule czasu". Rzeźba głów prezydentów, obok pozytywnych czy nawet entuzjastycznych głosów, spotkała się też z krytycyzmem. Niektóre grupy Indian uważały, dalej uważają, że jest to ingerencja w naturę, a także, że amerykańscy prezydenci ujarzmili ludność tubylczą, próbowali złamać jej ducha, stworzyli

rezerwaty.

Rzeźba Crazy Horse jest większa niż głowy prezydentów, pokazuje niezwykłego wodza Indian. Gdy czytam teksty na jego temat, zawsze wzbudzają we mnie skurcz serca. Otaczała go zazdrość Indian, krytykowano jego „aloofness” – szczególny dystans. Zagadkowa jest gwałtowna śmierć Crazy Horse, wiele niewiadomych. Chciałabym więcej wiedzieć także na temat trzech żon wodza – jak naprawdę było z porwaniem No Water, dowiedzieć się więcej o ukochanej Black Buffalo Woman.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm na tle głów prezydentów w Mount Rushmore, fot. arch. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Korczak Ziółkowski przerwał prace nad głowami Prezydentów i przyjął ofertę wodza Siuksów Standing Bear'a, który zaproponował mu, by wyrzeźbił w skale wodza Indian Crazy Horse. Czy w jego decyzji można się doszukiwać romantyzmu, lub też sprzeciwu wobec zawłaszczaniu cudzego terytorium przez białych najeźdźców?

Na pewno był w tym i romantyzm, i szacunek dla Indian, i zmierzenie się z zadaniem, które go intrygowało i działało na wyobraźnię.

Jak Korczak Ziółkowski zabrał się do tego gigantycznego projektu? Czy coś wiedział o legendarnym wodzu? Skąd wziął jego wizerunek?

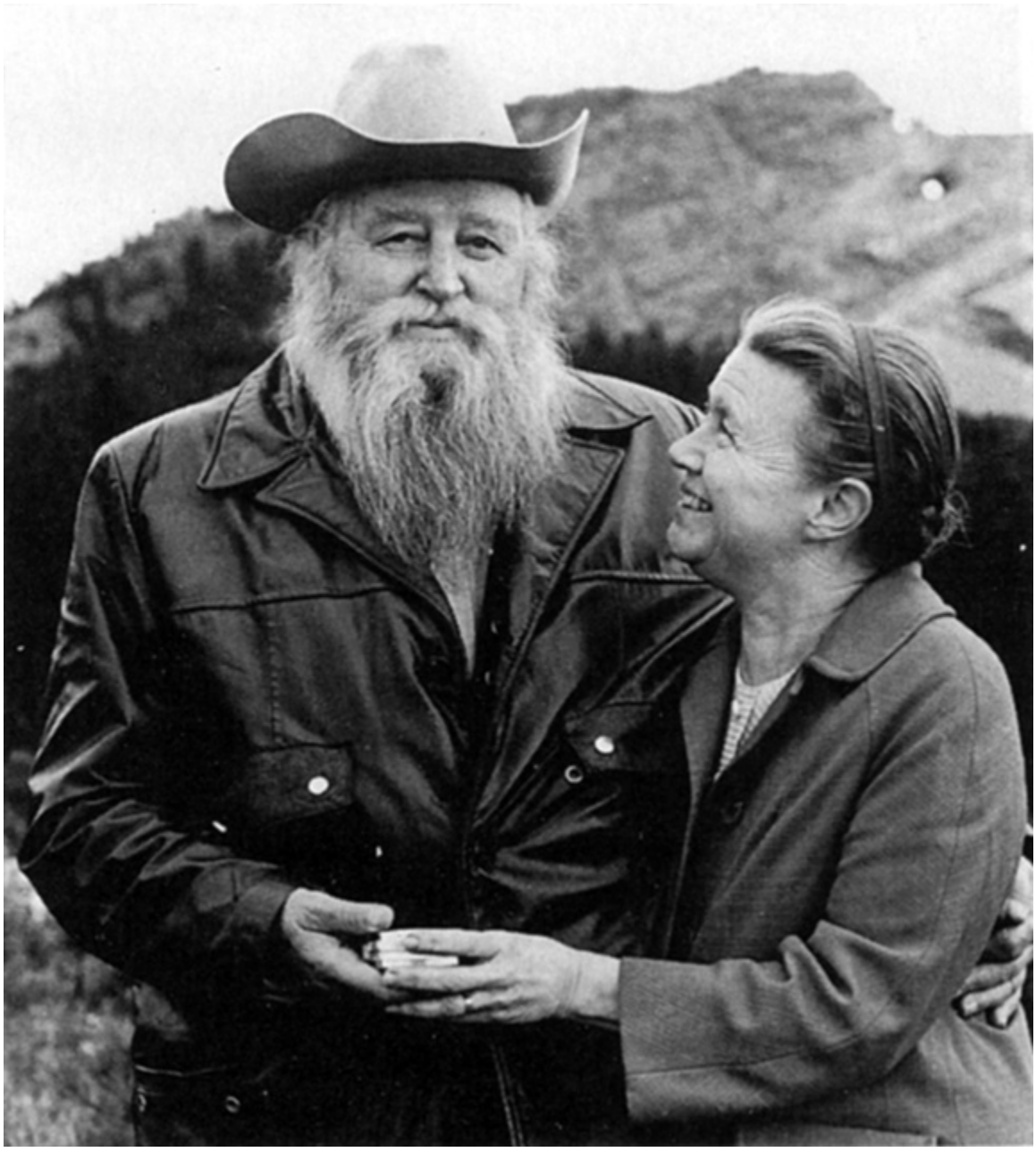
Od Ruth, jego żony, dostałam kasetkę: 85-minutowy film „Carving Crazy Horse". Duże wrażenie robią dokumentalne nagrania, zdjęcia, a szczególnie wypowiedzi Korczaka, np. powiedziane z niezwykłym komentarzem słowa, że „każdy człowiek ma w życiu własną górę do przekucia. Ja kuję w swojej".

Podobno gdy 3 maja 1947 roku przybył do Black Hills, w Paha Sapa wciąż leżał śnieg, rok później 3 czerwca 1948 roku na Thunderhead Mountain pierwszy wybuch dynamitu usunął dziesięć ton kamienia. Mnie – jak i Pani – jeszcze nie było wtedy na świecie.

Przez wiele lat, dzień w dzień rzeźbiarz chodził w góry i po kawałku wysadzał dynamitem skałę? A po jego śmierci kontynuowali te prace jego synowie?

Film „Carving Crazy Horse" pokazuje początkowe lata – takie

właśnie wysadzanie duynamitem „kawałek po kawałku”. Za życia Korczaka – kiedy dzieci podrosły – rodzina już była włączona w budowę, rozbudowę i prowadzenie Ośrodka Crazy Horse. Po jego śmierci (20 października 1982) cała rodzina jest czynnie zaangażowana.



Korczak Ziółkowski z żoną Ruth na tle pomnika Crazy Horse, fot. southdakotamagazine.com

Proszę opowiedzieć o rodzinie Korczaka Ziółkowskiego. Ożenił się z Amerykanką pochodzenia irlandzkiego Ruth, która zmarła w 2014 roku. Czy tak?

Pierwszą żoną Korczaka była Dorothy, pianistka pochodząca z dobrego domu w Bostonie. Byli małżeństwem 14 lat. Lubiło ją środowisko polskie; urządzała koncerty, zapraszała na spotkania, nawet zaczęła się uczyć języka polskiego.

Jan Niebrzydowski z New Britain, kolekcjoner dokumentów historycznych dotyczących Polski i Stanów Zjednoczonych, podarował mi kopię listu Dorothy Ziolkowskiej. List z 5 marca 1945 roku skierowany jest do Edmunda Liszki, przyjaciela Korczaka. Budzi podziw, z jaką troską Dorothy pisze na temat Polski.

Ruth (z domu Ross, ur. 26 czerwca 1926 roku, zm. 21 maja 2014) była drugą żoną Korczaka. Pochodziła z West Hartford, Connecticut. Przyjechała do Południowej Dakoty w 1947 roku, pobrali się w 1950 roku. Mieli dziesięcioro dzieci.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm na tle herbu Korczak, Crazy Horse Memorial, 1985 r., fot. arch. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Kiedy Pani po raz pierwszy zetknęła się z tym monumentalnym dziełem?

Pierwszy raz zobaczyłam projekt, bo wtedy wciąż był na etapie projektu, w 1985 roku, będąc polską stypendystką Fulbrighta (tak jak w 2006/2007 zostałam amerykańską stypendystką Fulbrighta – tym razem w Polsce). Pisał o moim spotkaniu „Przekrój”, ale i dziennik ukazujący się w Południowej Dakocie

„The Rapid City Journal”. [1] Korczak od trzech lat nie żył, przyjęła mnie jego żona Ruth, oprowadziła po tym niezwykłym miejscu, pokazała fotografie, dokumenty.

Dostałam od niej książki i upominki z ośrodka Crazy Horse dla mojego syna. Tomek, któremu kilka lat wcześniej opowiedziałam o *pow-wow*, gdy wróciłam z pierwszej wizyty w Kanadzie, narysował tańczących Indian. Rysunek wisi dotąd w naszym niewielkim warszawskim mieszkaniu. Z upominków przywiezionych z Dakoty ogromnie się ucieszył. Długo wpatrywał się w rysunki i fotografie w ofiarowanej mu książce Robb DeWall, pisarza i fotografa związanego z ośrodkiem Crazy Horse. Po latach, jako student architektury uniwersytetu w Fayeteville w Arkansas, zrobił zdjęcia do mojego tekstu indiańskiego w serii drukowanego „Na własne oczy” w „Polityce”.[2]



Rysunek Tomasza Tomczyka lat 8, fot. arch. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Spędziła Pani dwa i pół miesiące w Południowej Dakocie w rezerwacie Indian. Proszę opowiedzieć o tym pobycie, co Pani tam robiła, czego doświadczyła.

Mnie i mojego męża Normana przyjęto serdecznie. Byłam dla nich „cudzoziemką”, urodziłam się w Polsce, miałam akcent, i to się jakby bardziej podobało. Nawiązałam kontakty, prowadziłam rozmowy, zdobywałam informacje, wysłuchiwałam opowieści, robiłam notatki, nagrania, które potem wykorzystałam w ksiażce.

W pomyśle pisania książki najbardziej sekundował mi Norman.

Studiując nauki ścisłe i chemię na uniwersytecie w Północnej Dakocie, jako tzw. *elective*, dodatkowy przedmiot, wybrał kurs poświęcony Indianom. Wykładał go profesor Elwyn B. Robinson, o którym Norman po latach napisał artykuł. Sympatia i zainteresowanie tematem zostało mu na zawsze i jeździł ze mną kilkakrotnie do Pine Ridge. Odbyliśmy wyprawę do Wisconsin, Montany, Utah i obu Dakot. Nie tylko oboje darzymy sympatią Indian, ale zwyczajem amerykańskim, w miarę możliwości sponsorujemy trzy szkoły indiańskie, trzy fundacje pomagające Indianom, także ośrodek Crazy Horse.

Minęło wiele lat od 1948 roku, kiedy pierwszy wybuch dynamitu rozpoczął tę niezwykłą pracę. Czy monument jest już ukończony?

Prace przy pomniku przebiegają wolno, między innymi dlatego, że Ziółkowski odmawiał przyjęcia dotacji państwowych. Powtarzał indiańskie powiedzenie – zasadę, że Black Hills – Czarne Wzgórza – nie są na sprzedaż. Pieniądze zbiera prywatna fundacja należąca do rodziny (Crazy Horse Memorial Foundation), a kasę zasilają ogromne wpływy z biletów wstępu.

Zmieniono kolejność – gotowa już jest głowa Crazy Horse, także głowa konia jest już widoczna. Pomnik nie jest ukończony, i zapewne jeszcze wiele lat potrwa zakończenie prac. Ale już można jadąc autostradą zobaczyć profil wodza.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm na tle portretu Korczaka Ziółkowskiego, Crazy Horse Memorial, 1995 r., fot. arch. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm na tle portretu Korczaka Ziółkowskiego, Crazy Horse Memorial, 1995 r., fot. arch. Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm.

Korczak Ziółkowski poprzez swoje monumentalne dzieło na stałe wpisał się w historię Ameryki. Muzeum Crazy Horse przyciąga co roku setki tysięcy turystów. Czy spełnił marzenie Indian?

Ośrodek Crazy Horse rok rocznie odwiedza ponad milion turystów. Jest jednym z bardziej znanych miejsc, gdy się zwiedza Amerykę, gdy sie jedzie na Zachód.

Utworzono Muzeum Indianskie, każdego roku odbywają sie

rodea, pokazy sztuki indiańskiej. Stworzono system stypendiów dla młodzieży indiańskiej.

Do Muzeum Crazy Horse ofiarowaliśmy z Normanem „tomahawk” i „arrowheads” zaznaczając w jakich okolicznościach trafiły do rodziny Normana. [3]



Crazy Horse, Południowa Dakota, fot. flickr.

———————

[1] Kay Taylor: „Polish Writer-journalist tours Hills as part of month-long visit to U.S”, „The Rapid City Journal”, September 25, 1985.

[2] Aleksandra Ziółkowska-Boehm, „Nadciągają Indianie” (cykl: „Na własne oczy”), „Polityka”, 22 lipca 2000, str. 92-97. Fotografie: Tomasz Tomczyk

[3] Crazy Horse Memorial. Norman Boehm’s grandfather Carl Adelbert Heinrich Boehm found the tomahawk at a construction excavation site in Chicago, Illinois approximately in 1900. The arrowheads were found in the late 1930’s by Norman in open fields/forests in Warren County, New Jersey where he grew up. [Gift from Norman Boehm and Aleksandra Ziolkowska-Boehm of Wilmington, Delaware].

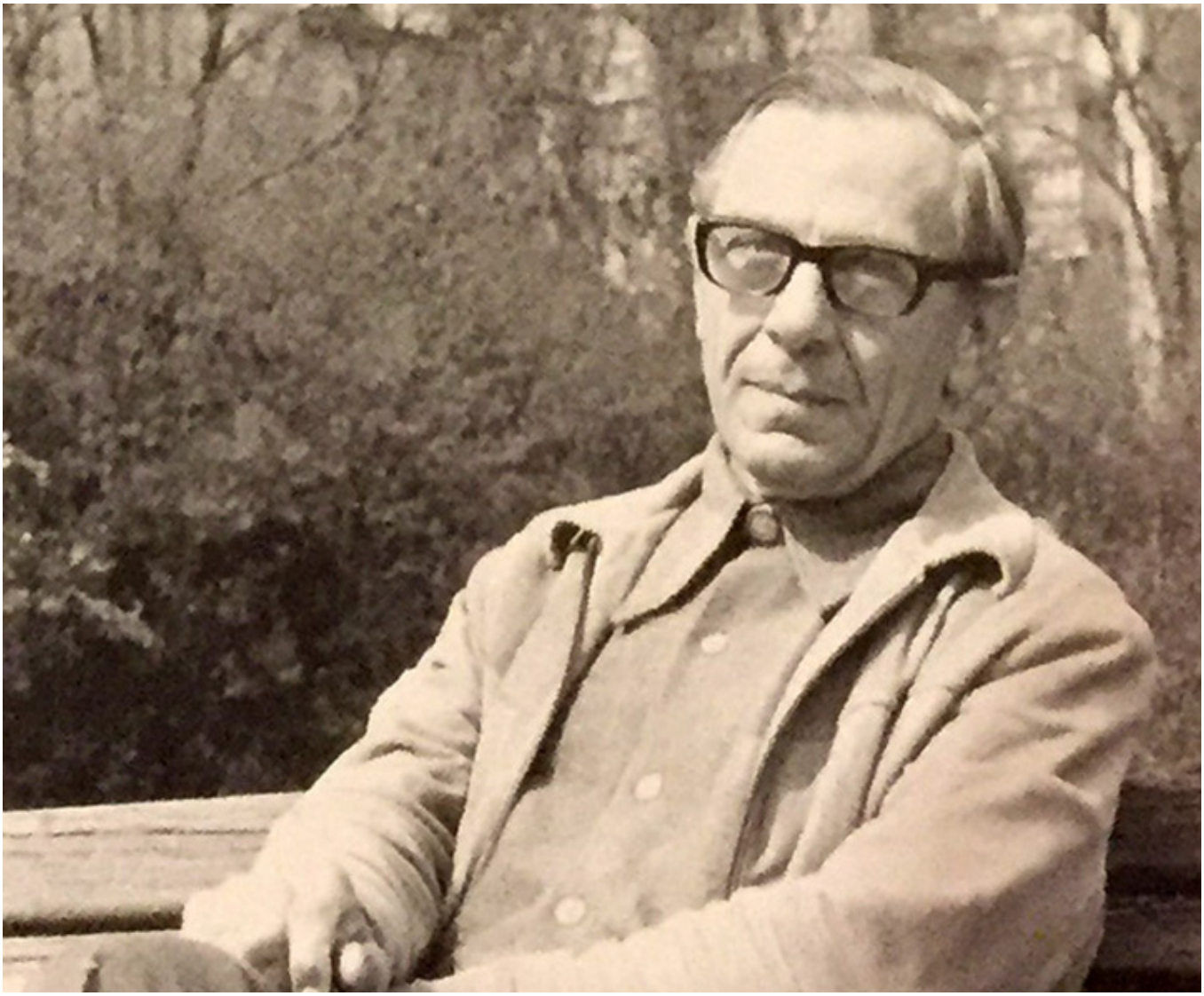
Crazy Horse Memorial. Dziadek Normana Boehm, Carl Adelbert Heinrich Boehm, znalazł ten tomahawk podczas prowadzenia prac budowlanych w Chicago w stanie Illinois około 1900 roku. Grot strzały został znaleziony przez Normana później, w latach 30. XX w., w lesie koło Warren w New Jersey, gdzie dorastał. [Prezent od Normana Boehma i Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z Wilmington, Delaware].

Strona Crazy Horse Memorial:

https://crazyhorsememorial.org/story/the-mountain/carving-crazy-horse-mountain/

Wywiad z Aleksandrą Ziółkowską-Boehm na temat książki o Indianach p.t. „Otwarta rana Ameryki” ukaże się w piątek, 4 stycznia 2019 r.

Rezygnacja z loży. Jan Rostworowski (1919-1975).



Jan Rostworowski, Kraków 1972 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

Florian Śmieja

W Szkocji w roku 1945 wypadło mi pojechać do Edynburga z maszynopisem obozowej jednodniówki. Jako autor większej części zawartych w niej okolicznościowych wierszy doskonale pamiętam, jak jeden z zecerów wojskowej drukarni w pewnej chwili zawołał do kierownika: „Panie poruczniku, ma pan rywala w pisaniu wierszy”. Na to do pokoju wmaszerował przystojny

młody oficer, wziął do ręki plik maszynopisów speszonego starszego strzelca, przerzucił je i wnet wyszedł uspokojony. Takie było moje pierwsze spotkanie z poetą Janem Rostworowskim.

Krakowianin, syn wybitnego dramaturga i poety, Karola Huberta, którego kolędę z wielkim pietyzmem recytował mi Jan Rembieliński w Londynie, kiedy odprowadzałem go z biblioteki *British Museum* do jego hoteliku – brał udział w kampanii francuskiej, a potem ewakuowany został do Wielkiej Brytanii. W czasie wojny debiutował jako poeta i wydał szereg tomów wierszy lirycznych, fraszek i prozy. Współpracował m.in. z czasopismami „Polska Walcząca", „Wiadomości", „Tydzień Polski", „Oficyna Poetów". Był członkiem jury dorocznej nagrody „Wiadomości" oraz laureatem nagrody Kościelskich.

Rostworowski pisał poezje, które się podobały. Na jego wieczorach autorskich w Stanach Zjednoczonych było tłoczno jak na bankietach. Kiedy redagowałem pismo młodych, skrzyżowaliśmy kilka razy szpady. Były to typowe porachunki piszących, nie pozbawione przekory i zazdrości. Jedna strona pomawiała rywala o kataryniarstwo i rolę bawidamka, druga wytykała adwersarzowi „niezrozumialstwo" i „krótkie majtki".

Później przez wiele lat nasze drogi się nie schodziły, ale pewnego razu Rostworowski wracając do siebie z Londynu (mieszkał w

północnej Anglii) nałożył nieco drogi i odwiedził mnie na wsi pod Nottingham. Zajechał swoim nowiusieńkim wozem i zamaszyście oraz dziarsko wszedł do salonu. Jego pewność siebie nie była bez wpływu na naszą rozmowę, która jakoś się nie kleiła. Na domiar złego udało mu się poprawić mnie parę razy, co było dlań pewnego rodzaju satysfakcją za wcześniejsze polemiczne boje. Zaspokoiwszy ciekawość wyjechał. Wizyta nie doprowadziła do nawiązania bliższego kontaktu.

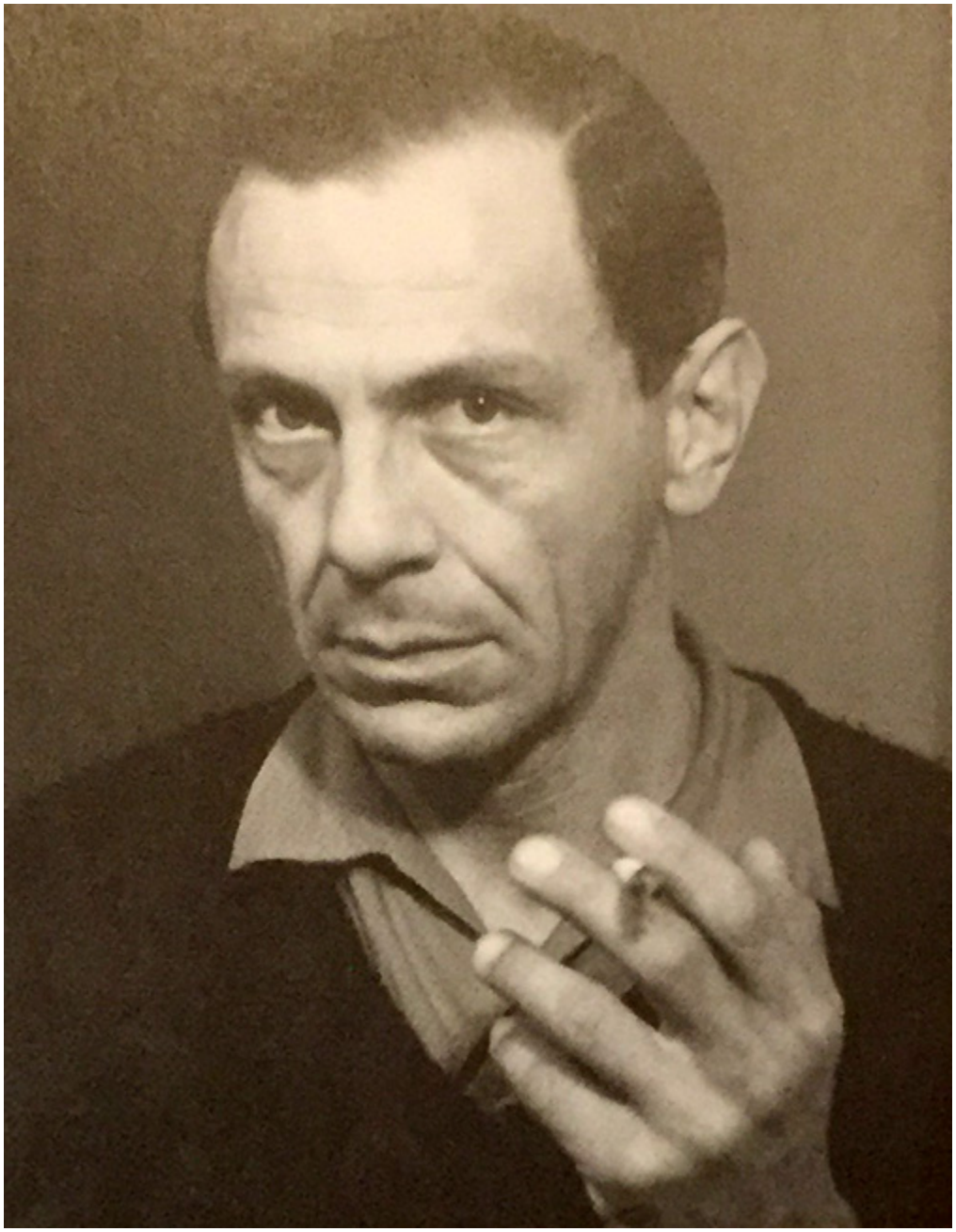
Dopiero podczas pobytu w Krakowie spotkałem go ponownie, gdy na Salwatorze wizytował swoją rodzinę. Bardzo do niej tęsknił. Mocował się ze sobą. Wreszcie powziął decyzję powrotu do Polski na stałe. Nie była to dlań decyzja łatwa. Nie jechał z zamkniętymi oczami. Polskę znał nie z lektury, a ból nieuczestniczenia w dramacie ojczyzny odczuwał dotkliwie:

> To nie mnie uderzyła pałka w rozruchach w tym mieście
>
> człowiek w niebieskim hełmie to nie jest mój stryj,
>
> na tych barczystych panów w cyklistówkach
>
> zwiezionych autobusami, patrzę, jak gdyby z loży.

Powrót do kraju był rezygnacją z loży. W liście z 10 września

1968 pisał m.in.:

> Sprawy polityczne ostatnich tygodni tak (mnie) zgryzły, że czuję się tak, jakbym truciznę pił. Oczywiście nie potrzebuję dodawać, że te sprawy „rzutują” i na mój los osobisty, bo jakoś nie potrafiłem zneutralizować ich w sobie i to się w pisarstwie moim odbije i to mi może bardzo utrudnić życie. Zazdroszczę tym ludziom, którzy nie mają żyłki do włączania się jakoś w losy zbiorowości i potrafią opisywać „życie na wsi” czy „trzepotanie się ducha ponad wodami”, jak to czyni z powodzeniem świetny i autentyczny poeta Tadzio Nowak. Albo żeby tak można było utonąć w smakach i drżączkach baroku, jak Grochowiak. No, ale nie można.



Jan Rostoworwski, Lancaster ok. 1960 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

Tymczasem sklep z delikatesami w Lancaster prosperował nieźle. („Sprawy pisarskie i handlowe – ta przeklęta kombinacja, z której się już chyba do końca życia nie wymigam – obsiadły mnie mocno”.) W lirycznym pożegnaniu pt. „Zamykamy” poeta-kupiec zanotował:

> Nigdy nam nie szło tak dobrze jak teraz. Co zdaje się jest w normie, jak w miłości przed przeminięciem, czy u kwiatu przed zwiędnięciem.

Cały bowiem ten kram, choć prosperował i zapewnił byt rodzinie, był mimo wszystko nieporozumieniem, a co najwyżej wyzwaniem. Poeta odejście skwitował słowami:

> Tylko, że myśmy nigdy przecież nie byli aprowizacją… Myśmy tylko znali słoneczne miejsce dla oliwki, źdźbła pachnącej trawy dla bretońskich ślimaczków i tę chwilę, w której owoc kandyzowany już nie jest tylko owocem i jeszcze nie jest tylko cukrem.

Wrócił z emigracji w 1968 roku – jego powrotowi towarzyszyły drwiny i insynuacje. A on wracał z tajoną przed ludźmi chorobą. W Krakowie przy ulicy św. Jana stoi kamienica, jego kamienica. Odstąpiono mu dawną stajnię w podwórzu z dostojnymi, starymi sklepieniami. Po ciotce dostały mu się stylowe meble. I tak powstało gniazdo, w którym otoczony przez rodzinę i odwiedzany przez przyjaciół poeta znowu znalazł oparcie.

Kiedy go tam odnalazłem, otrzymałem tomik wierszy miłosnych z

dedykacją: „W pierwszy krakowski wieczór, aby ich było więcej”. Tak pisał człowiek z wyrokiem śmierci w kieszeni. Nigdy zresztą o raku nie wspominał. Zawiózł mnie jeszcze swoim samochodem do Tyńca, ale już w wierszu z tego okresu powiedział:

> Kilka razy pięknie zaśpiewał ptak
>
> kilka razy pięknie uśmiechnęła mi się kobieta
>
> i przeszło życie.

Jednakże na jesieni 1974 roku trwało ono jeszcze i tliła się iskierka nadziei, którą usiłowały rozdmuchać podróże do brytyjskich lekarzy.



Kraków, ul. Św. Jana, lata 60.

Raz idąc do niego na ósmą wieczorem przystanąłem obok Sukiennic, by posłuchać hejnału, który o tej porze brzmiał najwyraźniej. Po skończonej wizycie Rostworowski odprowadził mnie do samochodu zaparkowanego na Rynku, aby wysłuchać ze mną kolejnego hejnału. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Bo kiedy w lecie następnego roku pukałem do drzwi jego mieszkania, zastałem je zamknięte. Odpoczywał w Lanckoronie, a wiersze, które pisał, tchnęły przeczuciem zbliżającej się śmierci. Utrzymane w tonie godnym, a równocześnie pełnym pokory mówiły o tym, jak to poeta tematami żył zamiast ludźmi, że serce „za długo, za starannie chował w sobie myśląc, że pod żebrami jest na swoim miejscu”. Porzucił poeta „niebo z

papieru”, pisał o moście. Takiego w końcu stał się przedmiotem monologu, gdy leżał skazany:

> A teraz w końcu – powiada Stworzyciel –
>
> mam go już na czworakach.
>
> Orać nim można, bronować
>
> tę ogromną resztówkę nazywaną niebem.

Potem zaczęły dochodzić złe wieści i nachodzić gorsze przeczucia. Bałem się pisać, bo donoszono mi, że chudł, że nie przyjmował pokarmu. Umarł w listopadzie. Umarł młodo, ale zdążył znaleźć się tam, gdzie każdy poeta chce przebywać: w swojej ziemi, pogodzony ze sobą i ze światem.

Któż z nas ma pewność, że dożyje kresu pod przychylniejszą gwiazdą?